Kromieryż.
(r. 1861.)
Bielany.
(r. 1862.)

VI.

I

1.

Bielany

W ~~zimie~~ grudniu r. 1862 wybraliśmy się w licznem towarzystwie saniami do Bielan. Mróz był siarczysty dnia tego, lecz pogoda prześliczna. Panie wzięły z sobą prowianty, panowie wino i słodycze. Wysmagani ostrym wiatrem stanęliśmy przed bramą klasztoru, prosząc o chwilową gościnę, której nam też O.O. Kameduli nie odmówili. Po dość pobieżnem z powodu zimna zwiedzeniu ~~szkła~~ wspaniałego kościoła, otwarto nam salę gościnną nieopaloną, gdyż zimą rzadko gość zawitał do pustelni. Natychmiast braci-

szek klasztorny zapalił suto w piecu, a nasi panowie zajęli się nastawieniem poprzywożonych ze sobą samowarów. Przy cieplejszej temperaturze i gorącej herbacie odtajaliśmy na humorze i szczera zapanowała wesołość w młodem i dobranem towarzystwie. Kiedy panie poczęły wydobywać prowianty a panowie wino, humor jeszcze się poprawił. Nagle w otwartych drzwiach sąsiedniej sali stanęła wspaniała, przepiękna postać białego mnicha ze słowami: „laudetur Jesus Christus!" Na okamgnienie umilkł gwar między nami, a wszyscy, opanowawszy wrażenie, jakie postać mnicha na nas wywarła, odpowiedzieliśmy gromko: „in

saecula saeculorum." Przeor zakonu, O. Benedetto Crispolti — on to był bowiem — postąpił naprzód z uprzejmem powitaniem, prosząc, abyśmy zajeli miejsca, i nie przerywali sobie zabawy. Gościnny padre nie przyszedł jak ongi surowy Savonarola karcić nas za zbytki, lecz jako gościnny gospodarz przyjąć nas w domu swoim. Ks. Crispolti, bliźki krewny papieża Piusa IX. był przepiękną postacią; wzrostu wysokiego, szczupły, silny brunet, o rysach twarzy kształtnych, cerze bladej i oczach czarnych i głębokich; tliła w nich jeszcze iskra, której zakonne życie widocznie przytłumić nie zdołało. Panowie wystą-

pili z łaciną, na jaką się zdobyć mogli, damy z francuszczyzną, w której ks. przeor nie był zbyt biegły i ze skromną włoszczyzną, nabytą przy lekcyach śpiewu i wcale dobrze porozumiewaliśmy się, częstując sympatycznego przeora winem i ciastkami. Gwar zapanował znowu. Wnet wniesiono na salę tacę z przepysznem winem włoskiem, jabłkami i orzechami. Gościnny padre sam nalewał kieliszki; dla pań było wino słodsze, ale aquisto, co spowodowało u niektórych zaraz zamęt w głowie, wogóle temperatura podniosła się znacznie i rozległ się okrzyk: Evviva Italia! Evviva Pio nono! Evviva padre

Benedetto! cała bladą twarz mnicha żywe wystąpiły kolory i dziękując zawołał: Eviva Pologna! W tem przez zamarznięte szyby drzwi balkonowych i okna padło na nas różowe światło zachodzącego słońca, jakoby hasło do odwrotu, ze względu na klauzurę klasztorną, ale gościnny przeor, zauważywszy zapewne żeśmy się już dostatecznie ogrzali, zaproponował nam zwiedzenie pustelni, na co przez wzgląd na osoby z poza Krakowa, nie znające Bielan, przystaliśmy chętnie. Erem stanowi wydłużony kwadrat ogrodu z szeroką ścieżką pośrodku, po bokach której stoją w odstępach jednakie, białe domki, otoczone

ogródkami, które zakonnicy sami pielęgnują. Domki, stojące po prawej stronie od wejścia połączone są niskim murkiem, jakby parapetem, zbudowanym na krawędzi góry, z której roztacza się wprost czarujący widok na wzgórzyste okolice Krakowa z Tatrami w oddali. Ćwierćmiesięczna porzestrzeń, pokryta białym całunem iskrzącego się w słońcu śniegu, wywołała okrzyk zachwytu naszego. Gdy uczyniona zwróciła uwagę jednej z dam, iż jego, jako urodzonego Neapolitańczyka dziwić musi nasz entuzjazm dla zimowego krajobrazu, odrzekł tenże: „Przeciwnie, od lat kilku jak patrzę z mego ogródka lub okna celi na cudownie piękną scene-

nię tę, nigdy dosyć nie mogę się nacieszyć jej urokiem. O ileż to więcej urozmaicony obraz, inny o każdej porze roku i o każdej porze dnia; w piękności nie ustępuje wcale obrazowi a o ileż rozmaitszy w swoich porównaniach. Dla braku miejsca po kilka osób kolejno zwiedziliśmy wnętrze domku porzeowa, które podobno niczem nie różni się od innych. Malutka sionka i dwie szczuple-cieki, zastawione kilkoma najprostszemi meblami; w pierwszej szafka z książkami i druga na ubranie, przy oknie w murze, schowek na dzbanek gliniany z wodą i taki ż kubek; obok okna zamknięcie stało w jadalny stolik, na nim talerz porcelanowy, obok nóż, widelec i łyżka biała

gruba serwetka, mały bocheneczek chleba;
pozy tej jadalni jedno proste krzesło. W dru-
giej izdebce łóżko a raczej tapczan z gru-
bym siennikiem, takimże kocem i po-
duszką skórzaną; prosta umywalnia
a w oknie stolik zawalony książkami,
widocznie treści religijnej; służący także
za biurko, jedno krzesło, na ścianie kru-
cyfiks i pięknie namalowana akwarela,
widok klasztoru Camaldoli we Włoszech;
oto i wszystko. W końcu ogrodu poza
małą w murze furtkę wyszliśmy na na-
turalną, że tak cały utworzoną platformę,
otoczoną baryerą, gdzie tu stromo spa-
da skała; góra zalesiona w połowie wyso-
kości otoczona jest wysokim murem. Jest

to właściwy erem, miejsce przechadzek dla zakonników. [illegible] wymienionej platformy, przez szeroko wyciętą [illegible], znów inny a piękny przedstawił nam się widok; w ramie okiścią białą pokrytych drzew, jakby w ramie z opalów ukazał się Kraków! Okna Wawelu lśniły wspaniałą iluminacyą, odbijając ogniste promienie zachodzącego słońca; wieże kościołów gorzały w blasku. Z tego uroczego miejsca niegdyś król Jan Kazimierz przypatrywał się pożarowi Krakowa. Wspomnienie historyczne, cisza pustelni i urok miejsca, wprawiły nas w zadumę, więc milcząc, zdążaliśmy ku wyjściu, dokąd towarzyszył nam ks. przeor, któremu podziękowaliśmy za biesiadę, nietylko dla ciała,

ale i dla ducha." Żegnając nas ks. przeor szybko zwróciwszy się do młodzieży, rzekł: "Znam waszą sprawę i modlę się za nią; Bóg z wami...." Wzruszeni objawem sympatyi Włocha dla Polski opuściliśmy klasztor w podniosłym nastroju... Wsiadając do sanek spostrzegliśmy, że nie tylko konie podjadłszy sobie klasztornego owsa parskały żwawo, ale i woźnice uraczeni gościnnie, nabrali fantazyi i postanowili urządzić sobie wyścig z Bielańskiej góry. Panowie nasi ujęli lejce w ręce swoje, oddawszy je woźnicom na równej już drodze, gdzie znów poczęli się wymijać, a sanki, w których siedziałam i moją przyjaciółką Wikcią Szumanówną i kolegą brata mego.

dr. Wągrowskim., uderzywszy o kamień przydrożny, wysypały nas w rów, pełen puszystego śniegu. Gramoląc się, Wikcia, chwyciła, zamiast za wiklinę, za kędzierzawą czuprynę Towarzysza, i tak mocno, że wrzask jego zestraszył całe towarzystwo, sądzące, że złamał nogę lub rękę. Na szczęście, wyszliśmy cało z katastrofy i powrócili zadowoleni z wycieczki do domu, omawiając wrażenia dnia tego. Panie sentymentalne łamały sobie głowę nad przyczyną wstąpienia do surowego zakonu pięknego Włocha, podejrzewając jakąś sprawę romantyczną...!
Z uczestników tej wycieczki, wielu, zięło

udział w powstaniu, wybuchłem zaledwie w kilka tygodni później, które po roku upadło, było jednak przedostatecznym szczeblem do wolności, jaką się dziś / r. 1920 / cieszymy.

Wycieczka do Kromieryża.

Kromieryż, miasto na Morawach, liczące do 10ciu tysięcy mieszkańców, jest letnią rezydencyą arcybiskupów ołomunieckich, zaliczających się do najbogatszych w Austryi; słynie ze wspaniałych, rozległych, wielkim kosztem utrzymywanych ogrodów, z których

t. zw. „ogród francuski” po wersalskim, uwa
żany jest za największy i najpiękniejszy
w Europie. Nie posiada wprawdzie tak
pięknych wodotrysków jak Wersal, lecz
obszarem i pięknością szpalerów Lenne
dorównywa. Jest to wielkie miasto, zbu
dowane z olbrzymiej wysokości zielonych
murów, na tle których widnieje mnóstwo
białych posągów mitologicznych, od któ
rych moc najpiękniejszych klombów kwia
towych cudnie odbija. Ogród posiada dowci
pnie pomyślany labirynt z którego bez
planu w ręku, lub przewodnika, nikt się
nie wydostanie. W przeciwnej stronie miasta
leży park angielski, ogromnej rozległości,

o drzewach starych, rzadkiej piękności;
urozmaicony różnemi grotami, kioskami,
wodotryskami, domem z róż, i t. p. pomysła-
mi z wieku ośmnastego. W parku tym
stoi zamek biskupi, dwupiętrowy, ciężki
gmach, zbudowany w czworobok w stylu
józefińskim, nieładny, ale wnętrze, że
go odznacza się nadzwyczajnym przepy-
chem. Słowem Kremsier wart jest wi-
dzenia, a że brat mój młodszy Edward,
stał już czas dłuższy ze swym pułkiem
w tem mieście, postanowiliśmy latem
1861 r. odwiedzić go. Wyjechawszy pospiesznym
wiedeńskim pociągiem wczesnym rankiem
z Krakowa, stanęliśmy o 4ej popoł. na miej

sem. Odpocząwszy nieco w hotelu, ojciec mój z bratem udali się z wizytą do arcybiskupa ówczesnego, którego sympatyą i względami cieszył się brat mój. Nie mając zamiaru długo bawić w Przemyślu, pragnęliśmy spędzić wieczór we trójkę, ale brat objawił życzenie, żebyśmy choć na godzinkę udali się do ogrodu kasyna wojskowego na muzykę, gdzie zbiera się towarzystwo, w którem on żyje, i radby był, abym się z damami zapoznała, gdyż — jak utrzymywał — giną z ciekawości ujrzenia siostry jego, co posłyszawszy, ulękłam się zawodu, jaki im sprawić mogę, domyślałam się bowiem że jakieś cuda o mnie opowiadał; brat kochany, zaślepiony na moje wady, widział we mnie,

jakąś doskonałość, pod każdym względem.
O 9 lat młodsza od braci, byłam zawsze ich pieszczochą i ukochaniem, upatrywali we mnie tylko zalety, na wady oczy zamykając.

Ulegając życzeniu Edwarda, udaliśmy się do ogrodu, pełnego już strojnej publiczności. Na wstępie zaraz jakiś szykowny porucznik wskazał nam uprzejmie stolik wolny, spędzając z miejscowych kolegów. Jeszcześmy nie zdążyli usiąść, kiedy z estrady muzycznej zagrzmiał z werwą zagrany przez wyborną orkiestrę „Mazurek Dąbrowskiego!" Gdyśmy objawili nasze zdziwienie z tego powodu, rzekł brat mój: „Domyślam się, że to owacya dla was i to z wyższego rozkazu..." Tak też było oczy

wiście; pułkownik, dowiedziawszy się na dni kilka wcześniej o naszem zamierzonem pobyciu, polecił kapelmistrzowi, aby wyćwiczył swoich grajków, co też trudu wiele nie kosztowało, bo w orkiestrze byli i Polacy a kapelmistrz niegdyś stał z pułkiem w Galicyi i znał dziarskość mazura.
Wkrótce zaznajomiliśmy się z kołem nadobnych Czerniowczanek, i eleganckich wojskowych wyższej szarży a także z elitą cywilów miasta i zaledwie o 10tej dostaliśmy się do hotelu, spragnieni spokoju.
Nazajutrz wczesnym rankiem, zbudzeni byliśmy odegraniem jednej ze ślicznych „pieśni bez słów" Mendelssohna; a równocześnie brat mój, zapukawszy do moich drzwi, zawołał:

„Maniu, wstań i pokaż się w oknie; to „Mor-gengruss" dla ciebie!" Zarzuciwszy ubranie na prędce, podniosłam roletę i spostrzegłam nie tylko całą „Musikbande" przed hotelem, ale także dużo publiczności, zwabionej dźwiękami muzyki. Ojczysko mój, który lubił dłużej leżeć w łóżku z fajką i popijać kawę, musiał wstać i dygać się wykonawcom rannej pobudki. Jakeśmy się później dowiedzieli, ta niespodzianka była aktem uprzejmości komendanta załogi kromieryżkiej, jenerała, barona Fiedlera, w którego domu w południe złożyliśmy wizytę. P. P. Fiedlerowie rewizytowali nas popołudniu, i zaprosili na wieczór. Jenerałowa Fiedler, licząca około 40 lat, była Włoszka, bardzo przystojna

i dystyngowaną, osobą z wyższem — jak mi brat mówił — wykształceniem. Generał, pokaźny postacią uchodził za jednego z najlepszych wodzów armii austryackiej. Oboje Fiedlerowie wielce sympatyczne wywarli na nas wrażenie. Przed wieczorem zdażyliśmy jeszcze być w domu pułkownika „Homera", gdzie brat mój jak syn był uważany a pułkownikowa nazywała go „unser Goldsöhnchen!" Tu nadmienić muszę że Edward wesoły, żywy, towarzyski i dowcipny, nie był wcale t. zw. „bawidamą"; miał szczęście do ludzi, lubili go przełożeni, koledzy i podwładni. Był jedynym Polakiem w garnizonie krowiedzyckim i żoł—

mięsem bez zarzutu.
Wieczór u p.p. Fiedlerów spędziliśmy, rzec można „familiarnie", przy swobodnej pogadance. Zwyczajem włoskim kolację najpierw rozpoczęła sałata z raków i ryby w wybornym majonezie; na drugie danie pieczyste z kapłonów znowu z dwoma sałatami: jedną z rozmaitej zieleniny, drugą z jarzyn, suto oliwą przyprawionych i zalaną jak łza czystym aspikiem; w końcu lody wyśmienite i ciasta. W salonie podano czarną kawę a nieco później ciastka, owoce i wyborną herbatę. Wszystkiemu czyniliśmy honor jak należało. Panowie wyszli na cygaro

do sąsiedniego gabinetu generała, a ja z pa-
nią zabawiałam się rozmową, w toku któ-
rej dowiedziałam się, że generałowa za
młodszych lat przebywała, z mężem w Pol-
sce, którą bardzo polubiła, i dotąd naj-
milej wspomina. Wyraziła ubolewanie,
że piękna literatura a zwłaszcza poezya
polska jest jej nieznana, z powodu
braku przekładów na obce języki. W zaso-
bnej swej bibliotece, posiadała tylko „Maryę"
Malczewskiego w ładnem tłomaczeniu,
pastora Schrolla, i jakieś fragmenty poezyi
przekładu prof. Uniw. Jag. ks. Bratranka;
Na uwagę moją braku strawy dla ducha
w małem mieście, odpowiedziała: „Ratuję

nas bliskość Wiednia, i Ołomuńca, który zowią drugim Wiedniem. Śpiew i dobrą muzykę można tu usłyszeć, lecz pań i panien tutejszych od robót ręcznych, pieczenia ciastek, ... i tańca, oderwać jest trudno. W zimie zaprowadziłam u siebie wieczorki literackie, albowiem w pułku naszym mamy światłych oficerów różnej narodowości, więc udatne odczyty obcych literatur, pogadanki pouczające powinny były, jak pomyślałam, zachęcić do udziału kobiecych dam, ale, niestety, nawet bratu pani najlepszemu z prelegentów i tak bardzo lubianemu w naszem towarzystwie nie udało się to..., zmalało więc nasze kółko. Lecz

się tem nie zrażam i obiecuję zimą znowu podjąć nasze usiłowanie. i dzięki bratu pani dosyć obznajomiłam się z duchem polskiej poezyi. którą prawdę genialnych ma-cie wieszczów i znakomitych ludzi, więc nie zginiecie!.. Widno było że słów tych słuchała, że pani ta w duszy pozostała za-palczywą Medyolanką i rada była niedawno odzyskanej wolności swego narodu. Spostrzegłszy się, że jak na żonę austrya-ckiego wojskowego za wiele powiedziała, zwróciła zaraz na inny temat rozmowy. W sąsiednim gabinecie rozprawiano o poli-tyce, sprawach wojskowych i społecznych. Czas w miłym towarzystwie upłynął nam

szybko i ze zdziwieniem postrzegliśmy pod oknami stróża nocnego, otóż bijącego już godzinę jedenastą. Żegnani uprzejmie a nawet serdecznie przez p.p. Riedlerów, opuściliśmy pod wrażeniem ich gościnny dom! Po upalnym dniu wieczór był prześliczny i jasny, gwiazdy gęsto śmigały po niebie, przeszliśmy się więc jeszcze godzinę za miasto, ułatwiając program dnia jutrzejszego. W dniu tym brat mój miał do południa służbę, postanowiliśmy więc spędzić ranek w pięknym parku zamkowym. Kupiwszy po drodze jakąś przekąskę na drogę i śniadanie, wyruszyliśmy na odkrycie nieznanych nam jeszcze części

tego ogromu. Wśród zamkiem ujrzeliśmy wartę straży arcybiskupiej, której widok przeniósł nas myślą w czasy [illegible]. I... Ogromnego wzrostu grenadyer w mundurze ciemno-zielonym, ze skrzyżowanymi na piersiach pasami z białej skóry, w kamaszach do kolan, i ogromnej bermicy futrzanej, z pod której spływał biedakowi rzęsisty pot po twarzy! Uzyskawszy w kancelaryi arcybiskupiej pozwolenie, zwiedziliśmy wnętrze zamku, odznaczające się przepychem sal tak wielkich, że chyba nie tylko arcybiskup z kapitułą, ale nawet z całą dyecezją w pałacu i parku mógłby się pomieścić... Następnie rozpoczęliśmy piel-

rozrywkę po istnym labiryncie, pełnym sztucznych ruin, grot, szałasów sielankowych, kiosków i t. p. romantycznych pomysłów XVIII w. Błądząc porez blisko 1 godz. po pustym parku, nie natrafiliśmy 2 razy na to samo miejsce, wreszcie na wylocie pewnej alei ujrzeliśmy zamek, od strony południowej nam jeszcze nieznany. Wzdłuż fasady ciągnęła się kryta kolumnada o ścianach i sklepieniu wyłożonem — jak nam się zdała kryda-wało — barwną mozaiką. Miejsce to nadawało się do wypoczynku podczas skwaru letniego. Delektując się chłodem i wonią świeżego kwietnika, ciągnącego się wzdłuż

całej kolumnady, spożyliśmy z apetytem
przyniesiony prowiant. Umiejętna mozaika
okazała się tylko bardzo misternem wyło-
żeniem ścian, muszlami, których wspania-
łość podziwiając zapuściłam się na koniec
kolumnady; nagle poczułam nad sobą dro-
bniuchny (wprawdzie, ale silny i gęsty) deszcz!
Był to figiel wodotryskowy, którego motor,
umieszczony pod jedną z płyt kamiennej
posadzki, za pociśnięciem stopą przygo-
dnego i nieświadomego rzeczy spacerowicza,
wprawiany bywał w ruch. Z muszli w ścia-
nie i suficie, wydobywał się zdradliwy,
bardzo drobny prąd wody, który zmoczył mo-
je lekkie ubranie, nie czyniąc mi znaczniej-

szej szkody. W powrotnej do hotelu drodze
wysuszyło mnie południowe słońce.
W towarzystwie brata spożyliśmy w hotelu
smaczny obiad, złożony z potraw, z których
austryacka kuchnia słynie, mianowicie
z kurcząt smażonych z zieloną sałatą,
knedli rybowych i strudla z jabłkami,
zapijając te specyały cienkim „Vöslauerem"
Na podwieczorek byliśmy zaproszeni do
domu pułkownika Hommera. Pułkownik
w młodszych latach przebywał w Polsce, gdzie
zasmakował w dobrej herbacie; suszył więc
żonie głowę, krytykując domową herbatę
i nazywając takową po prostu „Ein Gesäuf!"
I miał rację, gdyż Niemcy gotują herbatę

jak każde inne ziółka, zaparzając liście potrzebną ilością wrzątku, jak trochę naciągnie, nalewają do pełności w filiżanki. Brat mój, doznając od rodziny Homerów wiele serdecznej przyjaźni i pragnąc się czem odwdzięczyć, wpadł na szczęśliwy pomysł ofiarowania jej samowara, który to przed rokiem przywieźliśmy z sobą, ku wielkiej radości rodziny i domowników, przewidujących, że nareszcie ustanie zrzędzenie pułkownika na złą herbatę. W naszej też obecności miała się odbyć inauguracya cennej maszyny i na podwieczorek zaproszono licznych gości. Syndykaus pułkownika zapewniał, że będąc czas jakiś w Galicyi obeznał się z procedurą

ustawiania samowara. Stawiwszy się o 5tej popoł. u pułkownikostwa, zastaliśmy już kilkanaście osób, przeważnie młodych i ładnych panienek, kilka dam starszych i siłę zbrojną, reprezentowaną przez kolegów mego brata. Całe towarzystwo obyte, swobodne i małomiasteczkowością nie trącące, więc zabawa potoczyła się gładko i łatwo. Po przybyciu jeszcze kilku osób zasiedliśmy do stołu, bardzo pięknie nakrytego i zastawionego mnóstwem tortinek, ciastek rozmaitych i owoców ślicznych, z których Morawy słyną. W oczekiwaniu herbaty wciągaliśmy się ze spożywaniem nęcących smakołyków i porównań.

ulicyi, kiedy po dość długiej chwili, pokojowa wszedłszy, coś dyskretnie szepnęła pani domu do ucha, poczem pani ta wyszła z pokoju, a wróciwszy, coś znowu poufnie powiedziała ojcu, który zerwawszy się, wyszedł także a powróciwszy po dłuższej chwili ze słodko-kwaśną miną, zawołał: „panie i panowie, samowar wypowiedział posłuszeństwo! Herbata, przyrządzona zwyczajnym sposobem wkrótce się pojawi.” Na tę zapowiedź zerwał się brat mój, jako fundator samowara interesowany w tej sprawie. Goście nie biorąc do serca tego zawodu, domyślili się, że nieumiejętność nastawienia samowara jest całej afery przyczyną. Kiedy pułkownik i brat

mój nie powracali, zaciekawione panienki i ja z niemi poszłyśmy do kuchni zbadać bliżej przyczynę, a za nami ruszyło też dwu porucznikow, słowem zebrało się sporo widzów tej komedyi. Bo proszę sobie wyobrazić wojskowych, którzy na polach bitew pod Solferinem i Magentą zdobyli stopnie oficerskie, dmących kolejno co siły w płucach w nieszczęsny samowar. Wreszcie pułkownik pojawił się z ogromnym butem polowym z karbowaną cholewą i nasadziwszy ją na kominek, jak miechem począł poruszać, co znowu wesołość widzów pobudziło. Kiedy i ten zabieg zawiódł, brat mój zniecierpliwiony

kazał ordynansowi wodę z samowara wylać,
a chwyciwszy za podstawę przewrócił maszy-
nę do góry dnem. W tejże chwili buchnął
słup czarnego pyłu, przepędzając widzów,
zwłaszcza wojskowych, dbałych o swoje nie-
pokalanie białe mundury. Okazało się, że
służący napakował drobniutkich węgielków
i szturchając je szczypcami od węgla, za-
pchał kominek miałem, tak dalece, że
powiew zatamował. Brat mój przyprowa-
dził wszystko do porządku, i po kwadransie
czasu ukazał się niesłusznie obgadany, ki-
piący samowar w sali jadalnej. Panna domu
pod nadzorem mojego brata zaparzyła
i nalała herbatę „po naszemu", którą gos-

cie pili z gustem, chwaląc kolor, czystość i aromat tego szlachetnego napoju. To kominiarskie [illegible] dało nie tylko wiele wesołości, ale i apetytu gościom. Szybko poczęły się opróżniać pełne kosze ciast i innych smakołyków domowej produkcji. Ciastka były wyborne i podziwiać należy ich rozmaitość; nie mogłam się powstrzymać od pochwały tego mistrzostwa dla p. pułkownikowej i jej córeczki.
Marajutor brat mój miał dzień wolny od służby i mógł nam towarzyszyć przy zwiedzaniu wzorowego folwarku, oczywiście pięknego, położonego też za parkiem, do którego końca, niestety, dotarliśmy po trze-

cim dniu pobytu. Przez wspaniałą aleję ka-
sztanową, wiodącą między rozległemi łąkami,
doszliśmy do czworoboku odwiecznych lip,
pośrodku których stał długi budynek,
okryty od ziemi po szczyt dachem pnącą ró-
żą w różnych kolorach, w pełnym kwiecie,
istna świątynia, lub przybytek bogini.
Szum lip, upajający zapach róż czyniły to
miejsce czarownem. Jakież było moje zdzi-
wienie, kiedy jakby w odpowiedzi na mój
okrzyk zachwytu w jednem z licznych
okienek ukazał się poczciwy, siwy łeb krowy.
O krów rasy algawskiej (Allgau) zamieszki-
wało tę różaną świątynię. Właśnie zabierało
się do południowego udoju kilkanaście,

hożych Morawianek. Każda krowa stała w osobnej przegródce czystej a na ścianie miała umieszczoną tabliczkę ze swojem nazwiskiem. Bydło było maści srebrzysto-siwej a utrzymane we wzorowej czystości. Miało sierść iście atłasową. Mnie, przyzwyczajonej słyszeć w naszych stajniach grube epitety, któremi poczciwe krowiny obsypywane bywają przez niecierpliwe dziewki, z dodatkiem licznych szturchańców, zadziwiła cisza, panująca w stajni, a już rozczulił mnie, lubiącą zwierzęta, przyjazny, rzec można, serdeczny stosunek krówek do swoich pielęgniarek. Śpieszczone zwierzęta na zawołanie po imieniu, choćby w odległości podnosiły głowy i cichym „ra

dośnym porykiem odpowiadali natychmiast;
nie było nigdy pomyłki. Dla próby i ja, sta-
nęłam w środku stajni i naśladując głos
dziewczyny, zawołałam: „Ami!" ale Ami nawet
nie zwróciła głowy w moją stronę. Takich
obór było kilka w Krzemieńcu, skąd mleko
wysyłano do Ołomuńca i Wiednia. Z wiosną
opuściliśmy ten pobytek jakiejś tajemni-
czej bogini i tegoż dnia wieczorem wzięłam
się do pakowania manatków. Ojciec, oma-
wiał z bratem różne sprawy. Ojczusko nasz
kochany wyraził zadowolenie swoje z dobrych
stosunków, w jakich Edward żył tak z prze-
łożonymi, jak z kolegami, i w ogóle z całem
towarzystwem Krzemieńca, a brat mój

rzekł: „A jednak dla mnie to zamało; po tra-
wonie i wędrowanie, ciągnie mnie coś w szer-
szy świat!" Słysząc te słowa, zawołałam:
„Jak, kiedy zawróciłeś głowy wszystkim tro-
mieniankom bez różnicy wieku, chcesz się
ulotnić?" — „Siostro, porywasz garnkowi
i sama smolisz i to ścierasz mundury
moich kolegów" — odciął się brat mój żar-
tobliwie. „Nic podobnego nie zauważyłam;"
odparłam, „i mundur mam czysty!" — „Ale
ośmieszasz chłopców swą powagą i impo-
nujesz im ogromnie" rzekł brat mój i do-
dał: „Dobra to nauka dla zarozumialców
a także dla panien kromiszyńskich, które
by się naśladować chciały." — „Już też bardzo

nie krytykui; wszystkie mile, wesołe i ładne;" - bronił je ojciec nasz - wesoła, co kraj to obyczaj," - dodał: - „To wzajemna sympatya - rzekł brat - wszystkie zachwycone są tobą, ojcze kochany i nazywają cię „der liebens würdige alte Herr." - Tylko nam nie bałamuć - rzekł, śmiejąc się, ojciec; nie jesteśmy wcale w kościele abyśmy wszystkie tutaj szczerze brali tylko do siebie.... Cześć, cześć, tobie, bałamucie przypada. Edward silnie protestował twierdzeniom ojca, wreszcie po żartobliwej utarczce, rozmowa zeszła, na bardzo poważniejsze tematy i myśl rychłego rozstania się, w czas niespodziewany smutkiem nas napełniła. - Adjutor wczesnym rankiem,

stanawszy na stacyi - ze zdziwieniem zasta-
liśmy już prawie — z wyjątkiem oficerów,
którzy mieli służbę — całe znane nam towa-
rzystwo, panie - z pięknymi bukietami, a po
chwili nadjechali też Fiedlerowie - z wiązanką
białych róż. Po serdecznem pożegnaniu, w
„Fiedlerowskiem" w ukwieconym przedziale, jak-
by jaka diwa operowa!, opuściłam gościn-
ny Kromieryż, tę istną „krainę róż."
Rozpatrując się po przedziale spostrzegłam
pod kwiatami, dyskretnie schowany, śliczny
koszyczek łubiany, wzoru morawskiego, któ-
ry poczciwa pułkownikowa cichaczem umieś-
ciła - [illegible]! Koszyk zawierał starannie uło-
żone 4 warstwy świeżych ciastek, przecio-

nych starannie papierem, a na wierzchu zeszy-
cik przepisów, o które prosiłam, pięknie wy-
kaligrafowany przez gimnazyalistę Homera
a kilku wyszczególnionych uwag w końcu każdej re-
cepty świadczyły o koncepcie i umyśle spo-
strzegawczym chłopca.





Schloß Kremsier.

44



